Nr. 36. We Lwowie dnia 9. września 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

PIEŚNIARZ*).

Obrazek z dziejów młodej Grecji.

Przez

Michała Wołowskiego.

A działo się to w Tessalji — w kraju tym i na tych zagonach, które były kiedyś świadkami walki z niebem Tytanów, chcących je zdobyć; w kraju, którego każda piędź ziemi, każdy kamień i góra może opowiedzieć tysiące wieków historji, zachwycić bohaterstwem przyszłości i zakuć w zachwytu milczenie.

Ale nie o tych czasach chcę mówić, gdy Zeus ze szczytów Peljonu rzucał pioruny, zagniewany na buntowniczych olbrzymów; ani gdy nadobne siostry Apolinowe śmiały się z wyżyn Olimpu do tuzinkowych śmiertelników.

Czasy te już umarły dawno, mało kto ma ochotę im uwagę poświęcać i dziwić się temu nie można, boć życie lepiej od śmierci wygląda, a to wszystko, co żyło dawniej, umarło już dzisiaj.

Hellada zatrzymała na dziś już tylko swoją dolinę Tempe, swoje Termopile, swój Olimp i Peljon, ale nie zdołała zatrzymać z przeszłości nic, coby jej wielki byt przypominało, prócz skorupek starych piękności w kamieniu lub naturze i w pieśniach poetów lub uczonych dziełach.

Hellada stara konała bezpowrotnie jako państwo, wyrzekając się swych bogów, swego języka i przekształciła się w państwo bizantyjskie, które pod ciosami wojsk Mahometa II zgięło kark i oddało go w pęta niewoli.

Dumny półksiężyc obalił krzyże, krzyk muezinów zagłuszył dzwony cerkiewne, a dla ludów Hellady rozpoczęły się dnie niewoli strasznej i krwawej.

Ludzie od tylu wieków napiętym łukiem tępili orły, a jednak orły nie zaginęły, bo szybują wysoko i na wysokościach przytulisko swe mają.

Toż samo stało się ze swobodą w Helladzie dawnej.

Ci, co pragnęli nią oddychać, schronili się tam, gdzie siedlisko obrały sobie orły, gdzie kiedyś bogowie mieszkali, i półksiężyc nawet nie śmiał do nich zajrzeć, wolnego powietrza na Helikonie okuć nie umiał, a gdy z niego szum się odezwał, bladł i drżał przerażony.

Ale za tę swoją chwilową bladość i ten swój przestrach mścić się umiał.

Doliny Tempe krwią się zalewały często, nocy tysiące widziały je w oświetleniu pożarów strasznych, od jakich włos bielał.

Pożary i mordy straszyły weneckie okręty przy Kandji i wyspach Jońskich, nie były zdolne jednak przestraszyć tych, co na szczytach Peljonu, Ossy, Olimpu oddychać chcieli powietrzem wolnem i oddychali, ufni, że sprawiedliwość nadejdzie i że: Fiat lux, libertas erit.

Narody z boleścią odwracały oczy od tych szczytów tessalskich. Mocarze świata wyciągali nawet ręce i serca do garstek nieszczęśliwych, którzy, przyczepiwszy się do skał, odczepić się od nich nawet barbarzyńskiemu półksiężycowi nie pozwolili.

Bonaparte łudził ich nadziejami pomocy, Anglicy intrygowali, a cesarz Aleksander mawiał:

»Nie umarłbym szczęśliwy, gdybym nie uczynił czegoś dla moich biednych Greków. Czekam tylko znaku z nieba!«

Ale półksiężyc był jeszcze w onczas silnym dosyć, zdmuchnąć się słowem nie dał.

Napoleon mimo obietnic i współczucia, szeptał do sułtana Sulima:

— Sułtanie, wyjdź z twego seraju, stań na czele wojska swego i rozpocznij dni piękne twej monarchji.

Anglja intrygowała, aby się nie dać wyprzedzić Francuzom.

Szczyty Peljonu roiły się narodem, który wyczekiwał pomocy i — z wiarą w niebo — walczył bezustannie.

*) Postać historyczna, Konstanty Rigas, poeta grecki.

Ta systematyczna, potężna walka nieszczęśliwych Kleftów i Armatoli, przypominająca walki Tytanów z Olimpem, była wprawdzie kroplą deszczu, padającą na kamień; ale też, jak kropla, powoli żłobiła jamę, która w przyszłości stać się miała fundamentem dzisiejszej niezależności greckiej i wogóle wyzwolić słowiańskie ludy na półwyspie Bałkańskim.

W Stambule, u Złotego Rogu bawili się padyszachowie, w przekonaniu, że są władcami świata, a paszowie ich tymczasem, naśladując pana, wypełniali kieski złotem, a ziemię użyźniali krwią psów niewiernych.

Psy, trzymane na łańcuchu, warczały, a gdy łańcuch zanadto wpił się w ich karki, kąsały tak, że krzyk bólu ukąszonych słychać było aż w pałacach haremu.

O, wtedy dziwnie śniły odaliski i dziwnie śnił sam padyszach wielki.

Z początkiem XIX. wieku potęga padyszachów blednie.

Brutalna siła i fanatyzm nie manifestują się, jak dotąd, męstwem, ale ślamazarną modlitwą i spijaniem słodkich całusów z ust kupionych odalisek.

Turcja maleje, siły z gór rosną i potężnieją.

Ale daleko im jeszcze do tego, aby swe skrzydła do potężnego rozwinąć mogły lotu; próbują, ale jakże im to rzadko się udaje!

Z tego to czasu jest i moje opowiadanie.

Tak, w tym czasie Grecja poczuła pierwsze drgnienia swego zmartychwstania, a i ten, który ten objaw wywołał, nie był to olbrzym, ale drobne dziecię prawie, pieśniarz, małe pacholę, zrodzone na równinach doliny tessalskiej, co jak drugi Tyrteusz uderzył w struny narodowej pieśni.

Pieśń, słabemi usty zanucona, rozbrzmiewała potem potężnie, aż zmieniła się w wielki akord wyswobodzonego ludu, który cztery wieki leżał w uśpieniu i na którego ciele dokonywał islamizm strasznych operacji.

Ze skał Pindu i Agraffy, z wysokości Olimpu i Peljonu usłyszeli Armatole tę cichą, a jednak głośną piosenkę.

U Armatoli i Kleftów nie było zgody, jednolitego działania, każdy z nich walczył na swoją rękę z muzułmanizmem, każdy przy sobie miał garłacz, nabity kulami i sakwę prochu, czy wtedy, gdy pasł trzody, czy wtedy, gdy się o swoje prawa człowieka upominał.

Ludzkość i społeczeństwo jednak, pomimo ciągłego rozwoju, posiada zawsze jedne i też same zasadnicze rysy charakteru, wypływające z natury człowieka.

To, co nazywamy stronnictwem w społeczeństwie, istniało i wtedy, i w szeregach tych walecznych biedaków, którzy mieli swoich Fanarjotów, zapatrzonych w niebo i głośno bijących się w piersi, a jednocześnie uśmiechających się jedną stroną twarzy do nieba i swoich rodaków drugą do padyszacha i jego przedstawicieli.

Nie obrażali się oni tak, jak Kleftowie i Armatole, gdy im kto rzucił w oczy obelgę: »Twoi krewni zmarli na swych łożach!« zbierali do, kiesek złoto i padyszachowi służyli.

Fanarjoci jednak, to jeszcze nie janczarowie, przerobieni z chrześcijańskich dzieci na siepaczy islamizmu, to jeszcze nie ci, którzy wzrósłszy na ziemi bohaterów, przeciwko swoim zwracają oręż.

Ten ostatni gatunek ludzi, to szczyt zepsucia, a biedna Grecja miała ich wielu.

Armatole, Skipetery i Klefty w poruszeniu. Na Peljonie palą się ognie, wkoło nich widzisz ogorzałe twarze bojowników z lulkami w ustach. Siedzą, złożywszy pod siebie nogi: za nimi niewiasty w malowniczych strojach dorzucają co chwila drewek na ogień.

Przed każdym z siedzących stoi gliniany kubek, a młode dziewczęta dolewają doń wina.

Jest coś wspaniałego, wielkiego w obozowisku wojowników, w tem oświetleniu i na tle tej kamiennej greckiej natury.

O czem gwarzą?...

Oto człowiek najstarszy z nich wiekiem odjął lulkę od ust, kłąb dymu wypuścił i mówi wolno.

— Mamy nowego baszę, dzieci, a basza straszniejszy od innych, bo na tej samej, co my, zrodzony ziemi: znacie go: Ali Tebelen.

C. d. n

Kronika naukowa.

(Meteorologja zwierzęca. — Żaby i motyle. — Rzekome proroctwa pogody i przepowiednie jej naukowe.

—

O przewrocie, jaki w meteorologji zwierzęcej nastąpił, rozgłosiły już pisma. Żabom wykazano dowodnie, że dotąd fałszywie przypisywały sobie zdolność przepowiadania pogody; proroczą natomiast chwałą okryły się niespodzianie... motyle.

Żaby, mianowicie, do surowej odpowiedzialności pociągnął jeden z profesorów cichego zresztą uniwersytetu w Czerniowcach. Sądząc widocznie, że rzecz warta jeszcze zachodu, zaatakował ją z całą ścisłością metody doświadczalnej. W klatce tedy szklanej, opatrzonej drabiną o dziesięciu ponumerowanych szczeblach, osadził dziesięć żab, a stopnie tak zbudowanego »barometru żabiego« odczytywał, mnożąc przez numer po-

rządkowy szczebla liczbę spoczywających na nim żab i zbierając sumę takich iloczynów. Tak np., gdy na szczeblu czwartym znajdowało się sześć żab, na dziewiątym trzy, a pozostała jeszcze żaba nurzała się w wodzie na dnie klatki, notowano liczbę $4 \times 6 + 9 \times 3 = 51$; gdy zaś wszystkie żaby na najwyższy wskoczyły szczebel, dawało to najwyższy stan barometru $10 \times 10 = 100$. Nie skąpił też profesor i pracy, bo w ciągu 48 dni zapisywał dostrzeżenia co dwie godziny, od 6-tej rano do 10-tej wieczór, po dziewięć zatem razy na dobę.

Liczby te następnie ugrupował, przebieg ich nakreślił graficznie i zestawił ze wskazaniami właściwych przyrządów meteorologicznych: barometru, hygrometru i pluwiometru. Otóż z zestawienia tego okazało się, czego, co prawda, i z góry można było oczekiwać, że mniemania o wrażliwości żab na wpływ czynników meteorologicznych są zgoła bezzasadne; żaby skaczą po drabinie niezależnie od ciśnienia atmosferycznego i od wilgotności powietrza, nie dbając bynajmniej, deszcz czy pogoda.

Na barometr tedy są one stanowczo nieprzydatne, mogłyby chyba służyć raczej jako zegar, obserwacje te bowiem wykazały, że najchętniej na szczyt drabiny wdzierają się wieczorem, w godzinach zaś rannych przebywają na dnie klatki.

Ledwie wszakże żaby stanowisko swe w meteorologji utraciły, o zajęcie go pokusiły się natychmiast motyle. Z mnóstwa bowiem pism dowiedzieliśmy się naraz, że pewien »przyrodnik« zapowiada wczesną na rok bieżący jesień z tego względu, że jeden gatunek motyli, który się zwykle dopiero w czasie późnego lata ukazuje, obecnie miał się już przed kilku tygodniami z poczwarek rozwinąć. Bzdurstwom takim chętny dajemy posłuch. Nie pytamy nawet, czy obserwacje te są dokładne, czy zależność taka jest należycie zbadana i uzasadniona, zachwyca nas rozumowanie, na pozór ścisłe — motyl się wcześnie ukazał, lato więc prędko się skończy.

Na takiem też rzekomem, pozornie naukowem rozumowaniu, polega i rozgłos słynnego Falba. Według teorji jego, stan pogody ziemskiej zawisł wyłącznie od działania przyciągającego, jakie księżyc i słońce wywierają na atmosferę naszą. Bierze on pod uwagę każdochwilowe położenie słońca i księżyca względem ziemi, rozpatruje więc odmiany księżyca, a mianowicie nów i pełnię, wtedy bowiem księżyc i słońce mieszczą się na jednej linji z ziemią i wpływ swój na atmosferę sumują; działanie zaś obu tych brył niebieskich jest najsilniejsze, gdy przypadają w najmniejszem od ziemi oddaleniu. Każda z tych okoliczności jest, według Falba, »czynnikiem przypływu«, a do czynników takich zalicza nadto położenie słońca i księżyca na równiku niebieskim, oraz ich zaćmienia. Każdy dzień nowiu i pełni nazywa się u Falba »dniem krytycznym« a stosownie do liczby czynników, które się w dniu takim zbiegają, może on być dniem krytycznym rzędu pierwszego, drugiego lub trzeciego. Tym sposobem można tedy w kalendarzu na cały rok z góry zaznaczyć dnie krytyczne różnych rzędów, dnie zatem, w których oczekiwać należy nagłych zmian pogody, burz, katastrof, a nawet trzęsień ziemi i wybuchów gazów w kopalniach.

Dla ogółu przedstawia teorja ta pewien pozór naukowy i wydaje się dosyć ponętną. W istocie rzeczy bowiem przyjmuje ona, że atmosfera nasza, na wzór mórz i oceanów, ulega pod działaniem przyciągającem słońca i księżyca przypływom i odpływom, a ruchy te powietrzne powodują wszelkie zmiany pogody, zaburzenia, przewroty. Już jednak rachunki Laplace'a wykazały, że wpływ tego przyciągania na ruchy atmosfery jest niezmiernie słaby; jeżeli rzeczywiście istnieją przypływy atmosferyczne, są one tak drobne i nieznaczne, że barometr bynajmniej ich nie zdradza. Na objawy w atmosferze naszej zachodzące, wpływ silniejszy znacznie wywierają liczne inne okoliczności, które sprowadzają zawiłość, wymykającą się dotąd dostrzeżeniom naszym i rachunkom.

Jeżeli zaś teorja Falba istotnie nie posiada wartości, to też nie większą jest doniosłość praktyczna jego przepowiedni. Nie twierdzi on bowiem bynajmniej, by zapowiedziane przezeń katastrofy w samejże chwili krytycznej koniecznie zachodzić miały; przytrafiać się, owszem, mogą o kilka dni wcześniej lub później; najsilniejsze burze nie występują podczas dnia krytycznego, ale na dwa dni zwykle wcześniej, a różne katastrofy zapowiedziane odstępują często o pięć, sześć, a nawet siedem dni od czasu pełni lub nowiu. W istocie zatem są wręcz przeciwne z jego teorją, zachodzą bowiem właśnie w czasie, gdy »czynniki przypływu« nietylko się nie wzmagają, ale owszem osłabiają nawzajem. Na ziemi zaś codziennie, jeżeli nie w jednem, to w innem miejscu, padają deszcze, szumią wichry i srożą się burze, a trzęsienia i wybuchy wulkaniczne nie należą zgoła do objawów rzadkich; skoro zaś przepowiednie Falba ze słabem zaledwie przybliżeniem wskazują daty przewidywanych zaburzeń, a już zgoła wskazać nie umieją okolicy, gdzie się one wydarzyć mają, to trudno zaiste pojąć, w jaki sposób utrzymuje się wiara w rzetelność proroctw jego.

Stan pogody wiąże się z najżywotniejszemi, sprawami naszemi, wszyscy pragniemy wiedzieć, jaka pogoda będzie jutro, za dni kilka, czy nadchodząca zima będzie mroźna, czy następne lato będzie suche. Na pytania te wszakże, co nas tak blisko dotyczą, meteorologja odpowiedzieć dotychczas nie może. Gdybyśmy znali dokładnie prawa ruchów atmosfery, to biorąc za punkt wyjścia stan jej w danej chwili, moglibyśmy też obliczyć stan jej w każdej chwili następnej, a tem samem

mielibyśmy możność przewidywania pogody według ścisłych metod astronomji dzisiejszej, ale praw tych nie posiadamy. Gdy jeszcze praw, rządzących ruchami ciał niebieskich, nie znali astronomowie starożytni, umieli już dosyć dokładnie zaćmienia przepowiadać, z długoletnich bowiem obserwacji poznali, że powtarzają się one w oznaczonym porządku, po upływie okresu, obejmującego 18 lat i 10 dni. Podobną perjodyczność starano się wyczytywać tedy i w następstwie objawów meteorologicznych; następstwo lat suchych i dżdżystych, zim mroźnych i łagodnych, silono się ująć w pewne okresy siedmioletnie, jedenastoletnie lub jakiekolwiek inne, usiłowania te wszakże okazały się bezpłodne, w objawach pogody nie zdołano wykazać żadnej zgoła perjodyczności, więc i metoda astronomów starożytnych do przepowiadania pogody zastosować się nie daje. Dopóki zaś meteorologja naukowych proroctw o pogodzie głosić nie będzie mogła, pozostanie zawsze miejsce dla proroków rzekomych w rodzaju Falba, lub też dla świadectw, wysnuwanych z obserwacji żab i motyli, podobnie jak chorzy, którym lekarze pomocy dawać nie mogą, szukają jej u owczarzy lub magnetyzerów.

Pewną wszakże podstawę naukową przewidywaniom pogody, choć na najbliższą tylko przyszłość, dał wynalazek barometru; powietrze bowiem wilgotne lżejsze jest, aniżeli suche, wywiera ciśnienie słabsze i powoduje spadek barometru. Nie jest wszakże barometr prorokiem zupełnie rzetelnym i często zawodzi, a wypływa to ztąd poprostu, że deszcz, który u nas pada, nie u nas się tworzy, ale sprowadzają go nam wiatry z oceanu. Aby więc przewidzieć, czy deszcz jutro spadnie, wiedzieć należy, w jakim jutro kierunku wiatr wiać będzie. Wiatr zaś płynie zawsze z miejsc, gdzie panuje większe ciśnienie atmosferyczne, do miejsc o ciśnieniu mniejszem, o niższym stanie barometru. Barometr jest prorokiem mylnym, gdy go odczytujemy w jednem tylko miejscu, ale pewność jego przepowiedni wzmogłaby się znacznie, gdybyśmy go obserwować mogli współcześnie na całej ziemi, lub przynajmniej na znacznej jej części; możność zaś takiej współczesnej obserwacji barometru w miejscach bardzo nawet między sobą odległych daje nam telegraf, a przy takiej pomocy centralne stacje metereologiczne mają możność ogłaszania buletynów pogody na dzień lub na dwa dni z góry.

(„Słowo“). *S. K.*

Najnowsze kierunki badań mitologicznych.

(Ciąg dalszy).

Krek profesor filologji słowiańskiej (Graz 1887), podaje szczegółową bibljografję dotyczącego przedmiotu. Żeby baśń słowiańska, jak w ogóle baśń ludowa, należała do obiegowego kapitału duchowego i żeby była wytworem nieokiełzanej, a nawet, jak chcą niektórzy, pozbawionej rozumu fantazji chłopskiej, temu zaprzecza Krek, dopatrujący w baśniach słowiańskich ślady wiary w bóstwa pogańskie. Co się zaś tyczy tłómaczenia tych szczątkowych wyobrażeń, to skłania się Krek razem z Afanasjewem do pośredniczącego stanowiska między teorją solarną Maxa Müllera, a atmosferyczną Kuhna-Schwartza. Słowiańscy mitologowie, łącząc obie teorje, przypuszczają oddziaływanie na fantazję codziennych, jednostajnie odbywających się zmian na niebie i na ziemi, powodowanych regularnemi obrotami ciał niebieskich, niemniej jak chwilowe, ale tem gwałtowniejsze działanie na wyobraźnię meteorów, orkanów, błyskawic trzęsienia ziemi i tym podobnych rewolucyjnych objawów przyrody. Odmienne stanowisko zajął Mandelsztam (Opyt objasnienia obyczajew, sozdannych pod wlijaniem mifa. Petersburg 1882. i nast.), skłaniaiącv się razem z Mannhardtem *(Wald und Feldculte Berlin* 1875—7 i *Mythologische Forschungen Strassburg* 1884) do tłómaczenia podań ze zjawisk chtonicznych. Na jak chwiejnych podstawach spoczywają wogóle badania w tym kierunku i jak sprzeczne są ich wyniki tego dowodzą np. tłómaczenia baśni o Polyfemie, owym jednookim olbrzymie, tak haniebnie oszukanym i oślepionym przez chytrego Odysseja. Boltz (Die Kyklopen. Berlin 1885) uważa Polyfema za postać historyczną (Cyklop-Kiklos-Siclus-Siculus-Sycylianin), R. Virchov wykazuje, że jednoocy nie są wcale wymysłem dowolnym, z palca wyssanym, lecz że rodzą się takie dziwolągi natury rzadko wprawdzie, ale niemniej prawidłowo, jak inne twory ludzkie. Uczeni alegorycznej szkoły pojmują Polifema i Odyseja jako przedstawicieli dwóch okresów cywilizacji, pierwszy wyobraża olbrzymią siłę cielesną, drugi — umysłową przewagę. Otto Keller tłómaczy ogniste oko na czole Cyklopa, jako światło, które górnicy, schodząc do kopalń, do czoła przytwierdzają. G. W. Nitzsch odnosi je do pierścienia, okalającego księżyc, wreszcie są i tacy, którzy uważają je po prostu za malowane oko. Schoeman (Schediasma: de Cyclopis Opuscula 1871) widzi w Cyklopach i Gigantach symbol nieokiełzanych sił fizycznych, Preller zaś sił wulkanicznych. Mannhardt objaśnia to zjawiskiem meteorycznem, według Afanasjewa jest Polyfem antropomorfozą chmury, Odysej błyskawicą, a pokonanie Polyfema przez Odyseja zna-

czy rażenie chmury błyskawicą. Schwartz, a z nim Wojewodzkij tłómaczą podanie to jako myt słoneczny: oko olbrzyma oznacza słońce, on sam zaś sklepienie niebieskie. Krek (Einleitung in die slav. Literatur I. 758) tak wyprowadza powstanie tego mitu: Olbrzym wypędza rano na łąkę owce, tj »jasne obłoki«, wieczorem zapędza je do czarnej pieczary, tj. do »ciemnych niebios« — oślepienia olbrzyma dokonywa sprytny przeciwnik t. j. błyskawica, a ryk potwora jest hukiem grzmotu. Szkoła antropologiczna wyprowadza całe podanie o Polifemie z kanibalizmu.

Na gruncie polskim objawiała się od najdawniejszych czasów skłonność cofania tradycji ludowej w zamierzchłą przeszłość, stanowisko zaś, z jakiego ją rozpatrywano, jest zgodne ze szkołą Grimma. Już Kołłątaj, który dał pierwszy popęd do badań ludowych, polecał zbieranie zwyczajów, zabobonów i guseł jako zabytków dawnej religji pogańskiej dla objaśnienia »historji początkowej«. Nasi starożytnicy, jak Wójcicki, Wiszniewski byli przekonani, że w podaniach naszego ludu przechowały się szczątki dawnej »rodzimej« mytologji słowiańskiej z przedchrześcijańskich wieków. Maciejowski twierdzi wprost, że wyobrażenia, które były artykułami wiary, zamieniły tę w czasach chrześcjaństwa na przesąd. Rozkwit badań sanskrytu odsuwał źródło tradycji ludowej aż do kolebki rodu ludzkiego w Azji, szukając objaśnień na nie aż w Weddach Indyjskich. W tym duchu pisał Leszek Borkowski (o najdawniejszych zabytkach. Lwów 1850). Jakże wytłómaczymy sobie — powiada tu — często powtarzające się w pieśniach ludu naszego wzmianki o słoniach, o lwach, o złotych ptakach, o grzechotnikach, o wilkołakach i t. p., jeżeli mu zaprzeczymy odwiecznej spuścizny, przechowanej w okruchach podań, po rozbiciu wielkiego duchowego bogactwa. Mimo upływu wieków i zawieruchy wypadków ciągnie się jakaś nieprzerwana nić podań, wiążąca najdawniejsze wyobrażenia ludzkości z sercem ludu naszego, a między tajemniczymi obchodami naszych czarownic znalazłby się pewnie niejeden szczegół polecony przez Athawedę.

Wprost przeciwne stanowisko zajmuje Ryszard. Berwiński w swych studjach o literaturze ludowej (Poznań 1854). Przyznaje on, że u Słowian długo jeszcze po ich nawróceniu na chrześcjaństwo, wałęsały się szczątki wyobrażeń i praktyk pogańskich, twierdzi wszakże, że napróżno byłoby ich szukać dziś pomiędzy ludem, nie dla tego, żeby miały przechowywać mniej od innych czci i miłości dla swoich dawnych bogów, ale właśnie z przeciwnej przyczyny, która sprawiła, że podanie staro-słowiańskie późno dopiero zetknęło się nietylko z prawdą nauki kościoła już w twarde formuły skrystalizowaną, ale z wyrobioną już najzupełniej demonologją chrześcjańską musiało się więc samo naginać do wzoru aż się w niem pierwotna fizjognomja zupełnie zatarła, stąd w dzisiejszej demologji ludu naszego więcej jest niewątpliwie pierwiastku rzymsko-greckiego, niż słowiańsko-polskiego.

C. d. n. *Henryk Biegeleisen.*

FELKA

Kiedy kolej opowiadania przyszła na pannę Sewerynę, rozszedł się szmer niezadowolenia i na pięknych, młodych twarzyczkach odmalowało się zniechęcenie. Cóż-bo zajmującego może opowiedzieć ta stara, brzydka panna Seweryna, która od dwudziestu lat, jako nauczycielka wioskowa, odciętą jest od całego cywilizowanego świata, i której tylko dwa razy do roku wolno odwiedzać »dwór«. Właśnie z okazji Bożego Narodzenia korzystała z tego przywileju, a kiedy kolej opowiadania na nią przyszła, nie zauważywszy szeptów i spojrzeń, mówiła:

. . . .

— Prawie każda w naszej klasie miała oprócz imienia i rodowego nazwiska jeszcze jedną nazwę, nadaną jej przez koleżanki, a trafnie zastosowaną zwykle do powierzchowności lub wewnętrznych przymiotów. Tylko jedna z nas, Felka Szaniecka, posiadała ich aż trzy. Nazywałyśmy ją: »Szewski chłopak« — »Trumna« — albo »O, wa!« A wszystkie te przezwiska miały rację bytu: Felka była mała, chuda, czarna i trochę ospowata, oczy miała nieco po tatarsku, skośno osadzone, koło nosa dużo piegów, a włosy, które od czasu tyfusu krótko przycinała, szorstkie, twarde i kosmykami na wszystkie strony sterczące — istny szewczyk. Biła od jej ubrania niemiła jakaś woń, niby świeżego pokostu, czyli woń »trumny«, jakeśmy to wówczas określiły, tak bowiem czuć zwykle pokost w magazynach trumien. Wreszcie na wszystkie pochwały, czy zarzuty, Felka jednem zwykła była odpowiadać słowem: »O, wa!«

Nosiła latem i zimą męzki, filcowy kapelusz, wytartą suknię koloru rdzą powleczonego żelaza i łatane obuwie. Nie umiała zdobyć sobie naszej sympatji, więc podśmiewałyśmy się z niej i ukradkiem i jawnie...

Szkołę wydziałową kończyła w jakiemś mniejszem miasteczku, a do Krakowa przybyła dopiero na kursa nauczycielskie. Pamiętam, że zaraz w pierwszych dniach przyznała nam się, że jest sierotą, że znikąd nie ma pomocy i prosiła o protekcję i pomoc w wyszukaniu lekcji. Ale nam podówczas figle były w głowie, nie po-

dobnie poważne kwestje. Przyrzekłyśmy wprawdzie wszystko, ale przyrzeczenie prędko z głowy wywietrzało. Gdyśmy się zaś w kilka dni dowiedziały, że ją stróżka Marcelowa, »na kredę« stołuje, śmiałyśmy się tak wesoło, jakby ją bieda ku naszej gryzła uciesze.

Gdyśmy się oswoiły nieco z jej tatarskiemi oczyma, piegami, męzkim kapeluszem i rdzawą suknią, przestałyśmy o niej myśleć, mówić i wogóle nią się zajmować. Zostawiłyśmy ją na uboczu, choć powinnyśmy były zająć się nią, przygarnąć i kochać, bo — jako najzdolniejsza — była chlubą naszej klasy, a mniej utalentowanym z chętną spieszyła pomocą.

Pewnego razu, w nieobecności nauczyciela, wszczęła się w naszej klasie ożywiona dysputa, której treścią było uczucie głodu. Podziwiałyśmy wytrwałość dobrowolnych »głodomorów« i litowały się nad przymusowymi. Każda starała się przypomnieć sobie, czy doświadczyła kiedy uczucia głodu w prawdziwem tego słowa znaczeniu, — te, które go nie zaznały, postanawiały poddać się próbie. Tylko Felka siedziała cicho, smutnie gdzieś w przestrzeń zapatrzona.

— A ty, Felko! byłaś kiedy głodna? — rzuciła jedna z koleżanek.

— Coo? — zapytała przeciągle.

— Czy znasz uczucie głodu?

Powiodła oczyma po wszystkich z takim wyrazem, jakby się niewymownie dziwiła, że ją o coś podobnego pytamy. Potem zaś swoim zwyczajem zmrużywszy tatarskie oczy, jedno tylko wyrzekła słowo: — „O, wa!“ A wymówiła je takim jakimś głosem, że nas zimny dreszcz przebiegł i doznałyśmy uczucia, jakby nas coś za gardło ścisnęło.

Bo tem jednem słowem powiedziała nam: »Wiem ja dobrze, jak to kurcz dolega w żołądku, ręce się trzęsą, w głowie huczy, ćmi się wzrok, nogi mdleją, każdy ruch męczy niewypowiedzianie... Wiem dobrze, przeszłam przez te męki«.

Wspomniałyśmy wtedy dopiero, że Felka była sierotą i że niegdyś tak gorąco o lekcje nas prosiła. Zawstydziłyśmy się płochości naszej i po odejściu Felki uradziłyśmy bądź co bądź o dobre dla niej wystarać się lekcje.

Po kilku dniach uczyniłyśmy jej propozycję, czyby nie przygotowała małej dziewczynki do klasy trzeciej.

Podziękowała nam serdecznie za pamięć i życzliwość, lecz odmówiła stanowczo, utrzymując, że lekcji brać nie będzie, bo ma już teraz coś »lepszego«.

Tą odmową i tajemniczością znowu nas odrzuciła od siebie, ale to nie przeszkadzało nam łamać sobie głowy nad tem, coby to mogło być »lepszego« od lekcji.

Przypadek dopiero po kilku miesiącach rozwiązał nam tę zagadkę.

Jakoś przy końcu maja Felka przez dni kilka nie pojawiła się w szkole. Zaniepokoiło to gospodarza klasy, którego była ulubienicą. Zapytał nas, czy nie wiemy, co się dzieje ze Szaniecką? A gdyśmy objawiły w tym względzie nieświadomość naszą, rzekł z wymówką w głosie:

— Należałoby przecież dowiedzieć się czegoś o niej; koleżeńskość sama wymaga tego... Mogłaby umrzeć, a niktby nawet nie wiedział.

Od stróżki Marcelowej dowiedziałyśmy się, że Felka mieszka na Grzegórzkach, za ochronką, w domku stolarza. Wybrałam się do niej wieczorem z drugą koleżanką i na dworze dobrze już ściemniało, kiedy stanęłyśmy u celu podróży. Jakaś stara kobiecina objaśniła nas, że panna mieszka na piąterku. Po wązkich, trzeszczących schodach poczęłyśmy się piąć na stryszek, aż wreszcie zatrzymałyśmy się przed drzwiami, prowadzącemi do jedynej, małej izdebki, a które właśnie otwarte były na oścież. Nie w mojej mocy opisać wrażenie, jakiego doznałyśmy na widok wnętrza owej izby. Od sufitu zwieszająca się lampa oświetlała ją słabo, ale dozwalała dojrzeć jej dziwne umeblowanie. Tapczan słomą zarzucony, stolik na książki i gdzie okiem rzucisz... trumny i trumny! Były wielkie i małe, dopiero co świeżo zheblowane, podmalowane nieco, lub zupełnie wykończone. Przed jedną z nich, boso, w krótkiej spodniczce klęczała Felka i nucąc jakąś smutną piosenkę, powlekała ją białym pokostem. Musiała słyszeć kroki nasze, ale widocznie kogo innego oczekiwała, bo nie odwracając głowy rzekła:

— Dobry wieczór panu majstrowi. Pan majster będzie łaskaw mi powiedzieć...

Trzeba było koniecznie coś przemówić, bo niepodobna było już cofnąć się.

— Felka! — wyrzekłam — Felka! sen-że to, czy jawa?

Podniosła się śpiesznie i zwróciła ku nam twarz, na której malowało się niemiłe zdziwienie. Wnet jednak wróciła do równowagi, podeszła ku nam uprzejmie, a podając dłoń na powitanie, rzekła z głębokim smutkiem w głosie:

— Sądziłam, że ukryję przed wszystkimi mój sposób do życia... i — nie udało się.

Oparła się o ścianę, zmrużyła nieco oczy, a dotykając ręką stojącej niedaleko trumny, ciągnęła dalej:

— Nie miałam znajomości, stąd wynikała trudność wystarania się o lekcje. Niepodobieństwem byłoby mi kończyć studja, gdyby nie poczciwy stolarz, który zarobek dał. Już blizko rok ozdabiam w ten sposób ludziom mieszkania na wieczne spanie...

Chcąc odwrócić rozmowę od niemiłego przedmiotu, wymieniłam jej cel naszych odwiedzin.

Uśmiechnęła się boleśnie, wydobyła z pod tapczanu trzewiki w okropnym będące stanie i nic nie mówiąc, pokazała nam takowe.

Wyrzucałam jej nieufność do kolężanek, utrzymując, że każda z przyjemnością byłaby jej kilka reńskich na trzewiki pożyczyła.

— I stolarz byłby pożyczył — odparła, — ale nie chciałam i nie mogłam od zasady odstąpić. Pożyczać można tylko na chleb... więcej na nic.

*
* *

Po skończeniu kursów rozpierzchłyśmy się po kraju, tracąc zwolna wiadomość o sobie. Wyjechała z Krakowa i Felka, dostawszy na wsi, w Dąbrowie, posadę.

Wymieniałyśmy z sobą często listy, bo od owych odwiedzin w majowy wieczór, zbliżyłyśmy się i szczerze zaprzyjaźniły. Marzyłyśmy zawsze o tem, abyśmy blizko siebie być mogły i po dwóch latach marzenia zamieniły się w rzeczywistość. W tym samym bowiem powiecie, gdzie ona przebywała, przyjęłam obowiązek prywatnej nauczycielki.

Chcąc jej sprawić miłą niespodziankę, nie pisałam jej o tem, tylko postanowiłam w pierwszą lepszą niedzielę odwiedzić ją. Ale raz goście nadjechali, to znowu deszcz padał, to konie były zajęte... i tak zeszło kilka tygodni.

Aż raz przyszedł do nas, do dworu, rymarz z Dąbrowy, co rokrocznie zajęcie tu miewał. Spotkawszy go spytałam:

— A co tam słychać w Dąbrowie?

— A źle, — odparł; — wczoraj nam panna umarła.

— Jaka panna?

— A no, profesorka.

— Chryste Panie! Felka Szaniecka umarła!

Pojechałam do Dąbrowy natychmiast.

W izbie szkolnej, na drewnianych ławach, spoczywała prosta, nawet nie heblowana trumna, a w niej leżała moja Felka, spokojna, n eruchoma, ze skrzyżowanemi na piersi rękoma. Ból, jaki ścisnął me serce, musiał mi chyba przytomność odebrać, bo nie myślałam, że tracę przyjaciółkę, nie zauważyłam, że izba była pusta, że nikt się za tą męcznnicą nie modlił, nikt po niej nie płakał, tylko ta jedna biała, chropowata skrzynia przed oczy mi się wysuwała, rażąc je niemiłosiernie.

— W nieheblowanej trumnie chowają cię, biedaczko — szepnęłam — a tyle ich się naozdabiałaś za życia!

Wiatr wpadający przez otwarte okno igrał z kosmykami jej włosów, tatarskie, zmrużone oczy zdawały się wpatrywać we mnie... tylko zsiniałe usta nie mogły już na moją niewczesną uwagę, odpowiedzieć ulubionem: O, wa!

. . . .

Teresa Klemensiewiczówna.

Rozbiory i sprawozdania.

Ludwik Krzywicki. — Za Atlantykiem. — Wrażenia z podróży po Ameryce.

Ludność Stanów Zjednoczonych powstała z wychodźców angielskich. Byli to ludzie, którzy już z ziemi ojczystej wynieśli praktyczność, przedsiębiorczość i odwagę. Przymioty te posiadali w stopniu daleko wyższym, aniżeli inni ich rodacy, należeli bowiem do jednostek, »szukających guza po świecie«. Czego doskonali po latach — znakomicie ilustruje najświeższe dziełko p. Krzywickiego.

Autor w swych wrażeniach z podróży nie pominął żadnej dziedziny społecznego życia. Mamy uwagi czynione nad wieloma odłamami przemysłu, obchodzi go sprawa oświaty, zajął się polityką, etyką, estetyką, religją. Kilka słów poświęcił teatrowi i dziennikarstwu. Jak widzimy, materjał obfity. Przyjrzyjmy się mu bliżej.

Z rolnictwa słyną przedewszystkiem okolice Mineapolisu i Dakota. Giełda zbożowa w Mineapolisie jest największą na globie ziemskim z tego rodzaju instytucji. Rolnictwo przybrało tu charakter zgoła inny, aniżeli na lądzie starym. Olbrzymie obszary ziemi zasiewane są jednym tylko gatunkiem zboża, jak ów step pszenny, który obserwował autor z okna pociągu przez pięć z górą godzin. Gospodarka prowadzi się maszynami, a w jak potężny sposób przemysł fabryczny został zastosowany do rolnictwa, świadczy choćby ten fakt, że »mączne miasto« (Mineapolis) sprzedaje maszyn-rolniczych rocznie za 70 miljonów rubli. »W Ameryce (w zakresie rolnictwa) w całej pełni nastał wiek pary«. Poczynają również zastosowywać elektryczność.

Czem stało się rolnictwo za Oceanem, niech zaświadczą wynurzenia jednego z przedsiębiorców rolnych. »Wielkie fermy Dakoty są prowadzone ściśle według zasad businessu. Wszystko tam systematycznie urządzono. Wiemy dokładnie, ile każdy drobiazg kosztuje i ile wart dla właściciela. Z fermy dostajemy codziennie sprawozdania, co w tym dniu zrobiono i czego dokonał pojedyńczy robotnik, koń lub maszyna. Oceniamy zużycie maszyny w stosunku do jej działalności, doliczamy koszta reperacji, i dokładnie znamy jej żywot. Nasze fermy posiadają buchalterów, administratorów, urzędników. Wiemy dokładnie, ile akr pola t. j. jego uprawa kosztuje, i zyski, jakie osiągamy«.

Gospodarka owa wyżłobiła w duszy rolnika odpowiednie idee, odpowiednie usposobienia. »Dies illa, dies irae ów najsmutniejszy hymn pierwotnego rolnika, zależnego od zmienności natury« nie może mieć miejsca śród pszennych

stepów Dakoty, gdzie »człowiek jest świadom swojej siły i strząsnął z siebie troskę głodu. Nie lęka się kaprysów przyrody«.. Ale przejdźmy do innej gałęzi.

Sadownictwo kwitnie w Kalifornji, w stanie Missury, zajmuje olbrzymie obszary w Colorado i Oregonie. Plantacje drzew owocowych przybrały charakter istnych borów; ciągną się czasem, jak folwark — sad »Olden frui-farm«. w stanie Missuri. blisko 3000 akrów. Stan Missuri posiada około 30 tysięcy ferm, zajmujących się jedynie hodowlą owoców. Do gajów owocowych zastosowano prawo płodozmianu, u postępowych gospodarzy istnieje nawet specjalny inwentarz, mający dostarczać odpowiedniej mierzwy«.

Do jakiego poziomu doprowadzone zostało ogrodownictwo w Kalifornji, świadczą poniższe cyfry: »drzewa wiśniowe wyrastają do 60 stóp, pojedyncze śliwy dają po 300 funtów owocu, są zaś okazy, które w jednym roku dostarczyły 1.102 fun. Dwudziestowłókowy folwark w dolinie św. Joachima dał jednego roku 3 miljony fun. tego owocu«. Kraina zmienia się zwolna w sad olbrzymi. I tu również »powołano do życia na wielką skalę maszyny... Wszystko co ma tylko coś wspólnego z sadownictwem porwane zostało wirem rewolucji technicznej«. To samo, na mniejszą jeno skalę, dzieje się w Colorado i Oregonie.

Ogniskiem przemysłu rzeźniczego jest dotychczas Chicago, ale zaczynają już z niem konkurować Kanzas-city i Omaha. »Stak-yards (główne targowisko bydła) z pobliskiem miasteczkiem rzeźnickiem są jakby olbrzymim żołądkiem, który wysunął mnóstwo przełyków ku zachodowi i południo-zachodowi. Lesiste okolice Montany i Nerady, płaszczyzny Arizony i Texasu, wszystkie te miejscowości, odległe o półtora i dwa tysiące wiorst, wysyłają do Chicago najrozmaitszego gatunku dziesiątkami tysięcy sztuk dziennie. Targowisko jest obliczone na 300 tysięcy rogacizny i trzody chlewnej jednorazowo«. Przemysł rzeźnicki, podobnie jak rolnictwo i sadownictwo, wprowadza ulepszenia w postaci maszyn-automatów. Przetworem nabiału zajmuje się głównie Kanada. Ona to wysłała na wystawę ów jeden z ósmych cudów świata — ser Yumbo, ważący, jak głosił napis, 22 tysiące fun.

Dział rybołóstwa na wystawie obudził w autorze refleksje o przyszłym rozwoju tej gałęzi przemysłu i dziejowej roli, jaka ją czeka. Przemysł rybi nie doszedł jeszcze fazy rozwojowej, w której rozpoczyna się prawidłowość wyzysku, jak to ma miejsce w rolnictwie lub sadownictwie. Technika jednak wkracza i do tej dziedziny zozstającej dotąd na uboczu. »Powstają specjalne szkoły rybackie. Państwa powołują do życia departamenta rybackie ze stacjami doświadczalnemi i czynią pierwsze próby okiełzania rabunku, czynionego na żywiole morskim«. Przyszła rola przemysłu rybackiego polega na tym fakcie, że »morze stanie się z czasem niewyczerpaną skarbnicą mierzwy«. Nader interesującym jest opis rozwoju, jaki przechodziło miasto Glomesta w stanie Massachussette. Dotychczas istnieje tam forma kooperacyjna. Autor jednak powątpiewa, czy ostoi się ona i nadal wobec »pokojowej logiki ewolucji ekonomicznej«.

Ciekawe spostrzeżenia poczynił autor w dziedzinie oświaty. To jedyna dziedzina, gdzie nie wkroczył amerykański business, rozgościła się natomiast amerykańska praktyczność. Czy to w szkole freblowskiej (»poglądowość panuje tam w całej pełni«), czy w niższej i wyższej (»z poglądowością zespoliła się nierozerwalnie chęć obładowania pupila jak największą masą przetrawionych wiadomości, rozszerzających jego widnokręgi umysłowe i wyrabiających go na dzielnego obywatela kraju«), czy wreszcie na uniwersytecie (»znajdujemy się na ziemi, łamiącej wszelką doktrynę.., najmniejszych śladów żyłki erudycyjnej), nauka nigdzie nie oderwała się od życia, nigdzie nie ma owego formalizmu, jaki zakorzenił się w szkole europejskiej. We wszystkich zakładach od najniższych do najwyższych dużą uwagę zwrócono na stronę fizyczną pupilów. Posiada Ameryka jeszcze jeden zakład, o którym Europa nie pomyślała dotąd: to obóz-uniwersytet nad zatoką Chautauqua, organizacja samouctwa. »Człowiek nie zamożny za tanie pieniądze może zaznajomić się z różnemi działami wiedzy — na świeżem powietrzu«. Ale wykłady stanowią tylko nie dużą cząstkę tej oryginalnej, a tak wielkiej doniosłości, organizacji. Komitet pomaga w samouctwie robotnikom, buchalterom, subjektom, wogóle ludziom, którym codzienna praca nie pozwala na zwiedzanie sal wykładowych, wdziera się nawet za kraty więzień. Ułożył kursa samouctwa, ogłosił t. z. syllabusy (rodzaj drukowanych kierowników do studjów ogólno-kształcących) wydaje miesięcznik, prowadzi z pupilami korespondencje. Jak olbrzymie rozmiary przybiera działalność znakomitej Chautauqua, dowodzi cyfra 200 tysięcy, które korzystały ze wskazówek, udzielanych przez organizację od r. 1788. Prócz Chautauqui na rozległem terytorjum Stanów powstały inne podobne zakłady. Jeden mamy we Florydzie, drugi usadowił się w Indjanie, inny znowu rozłożył obóz w Lakeview (stan Massahuszete).

Założycielami tych zakładów są, rozumie się, byli uczniowie uniwersytetu Chautoquańskiego.

Pominiemy ciekawe urządzenie bibljotek z ich działem wędrownym, i na zakończenie parę słów dorzućmy w sprawie etyki i polityki, o teatrze i dziennikarstwie. Etyka jest taką, jakiej można się było spodziewać po kraju z olbrzymim rozwojem gospodarki kapitalistycznej. Praktyczność — oto przymiot budzący ogólny podziw i szacunek. W polityce panują sprzedajne żywioły amerykańskiej burżoazji. Teatr i dziennikarstwo — to artykuły przedsiębiorcze. Panowanie businessu sprowadza nizki ich poziom, najzupełniejsze schlebianie upodobaniom mas.

Goldberg.

PRO MEMORIA.

9. września 1814. Sprowadzono do Warszawy zwłoki ks. Józefa Poniatowskiego, które zostały złożone następnie w grobach królewskich na Wawelu.

11. września 1794. Sąd wojskowy, zebrany w Warszawie, wydał wyrok śmierci na biskupa Skarzewskiego za to, że nietylko sam głosował na sejmie grodzieńskim za podziałem Polski, ale też innych posłów zwolnił z przysięgi, jaką złożyli, że bronić będą do ostatniej kropli krwi dawnych granic Rzeczypospolitej.

15. września 1791. Józef Wybicki, poseł miejski, ofiarował imieniem miast gotującej się do walki ojczyźnie 12 armat i tyleż wozów wojennych.

15. września 1862. Zmarł w Wilnie Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz.)

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.